Tom XIX. Nr. 11.

11. październiknika 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

# DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

## Nadspodziewana pomoc w nieszczęściu.

Żyła w Jaśle przed kilkudziesiąt laty uboga, ale poczciwa rodzina. Ojciec, nazwiskiem Jan Słomka, ręczną pracą zarabiał na codzienny kawałek chleba; ale ani jego starania, ani praca żony i dwóch dorosłych bogobojnych córek, nie potrafiły przynieść tyle dochodu, żeby się mogli wyżywić. Nieszczęścia różne zagościły się w ich domu nie na żarty, byli to więc ludzie bardzo ubodzy, zwłaszcza, iż nie mieli ani kawałka pola, ani kąta swego, tylko najmując mieszkania, ostatniemi czasy już nawet za miastem w karczmie się jakiejś mieścili.

Byli to jednak ludzie pracowici i pobożni; krzywdą ludzką broń Boże się też dorabiać, nie zazdrościli nawet majątków i mienia innym, co właśnie przy ubóstwie świadczyło o ich uczciwości i jednało im wielu życzliwych.

Syn Robert był już nawet na siebie piekarzem w Jaśle i on się miał dosyć dobrze, a córka jedna zamężną była za siodlarzem. Dwie jeszcze pannami w domu przy rodzicach siedziały, bo chociaż urodne, pracowite i cnotliwe, ale ubogie;

każdy je chwalił, ale żenić się nikt nie odważył, bo też każdy się tam garnął gdzie czuł grosz, a wtedy to jeszcze nie trudno było dostać wiano cwancygierami, talarami lub dukatami, co się aż dusza śmiała do nich, to też pieniądz, ten stary kusiciel świata, odpędzał młodzież od biednych córek Jana Słomki.

Już jeden krawiec Ignacy o mało że się nie ożenił ze starszą i wszyscy mu to radzili:

— Ignacy żeńcie się z Karolcią, dziewczyna z dobrem sercem, rączki też ma nie do pierścionków jeno do pracy, nie wychowana na kołaczach tylko w biedzie, wam też takiej potrzeba, a że i dobry z was rzemieślnik, to wyżyjecie i za łaską Boga możecie przyjść do majątku. —

Ignacy słuchał tej mowy i aż mu serce mocniej pukało‘ tak się mu dziewczyna podobała, lecz, zawsze w końcu odpowiadał:

— Ej moi mili, jabym dziś dostał żony i za nią ze sześćset cwancygierów oprócz innej wyprawy, ale niechby Karolcia choć sto cwancygierów miała, tobym się żenił; tak bez niczego przecie tego nie zrobię, bo żona z pieniędzmi to jednak lepsza; człek sobie zaraz los poprawi a z biedną to sobie owszem pogorszy.

Więc bieda, jak to mówią na urząd, zagnieździła się u Słomków i co dzień było gorzej, tak, że jednego tygodnia, gdy przez brak roboty i jeść nic w domu nie mieli, stary Słomka widząc łzy w oczach żony i córek, wdział wytartą i już nieco połataną czamarę, kapelusz stary na głowę, laskę do ręki, i krzyż św. uczyniwszy, wyszedł z domu do miasta, sam nie wiedząc gdzie pójdzie i po co.

Idzie tak zamyślony przez uliczkę i radby przynajmniej którego kuma napotkać, coby go choć tabaką pogościł, ale jak bieda, to już na wszystko. Idzie więc zły, kapelusz nacisnął aż na nos, i choćby samemu panu staroście nie ukłoniłby się, tak go złe myśli trapiły. Ale wstąpił do kościoła, tam się ze wszystkiego od serca użaliwszy, po cichu wznosi modlitwy do przemienienia Pańskiego, i nareszcie wychodzi

z kościoła jakiś spokojniejszy: w tem spotyka znajomego sobie mieszczanina, nazwiskiem Słonka, więc bardzo podobnego jak on nazwiska.

— Hej! hej! panie Janie, odzywa się tamten, zażyjcie no tabaki, mospanie, powiem Wam coś nowego; jest na poczcie jakiś list, gdzieś mospanie aż z Prus, nibyto do mnie, bo napisano mospanie do Pana Słomki, ale ja z pradziada mospanie zowię się Słonka i ztąd to ponoś między nami różnica, o co nie raz mospanie już i z cechmistrzem się zbywałem; dlatego ja tego listu nie odbieram, chociaż go listonosz z pięć razy do do mnie przynosił; bo nawet niemam nikogo, coby tam mospanie z tego luterskiego kraju do mnie pisywał, i splunął; — więc może to do was, to idźcie i odbierzcie, niech mnie tam ta poczta nie nudzi.

Zdumiał się trochę starowina na te słowa i odrzekł:

— Ja mam jakąś siostrę gdzieś w świecie, ale Bóg św. wie czy w Prusach, czy gdzie się znajduje, a nawet czy żyje, bo nigdy do mnie nic nie pisała; może to ona do mnie pisze. A pożegnawszy swego znajomca poszedł prosto na pocztę, list odebrał i otworzywszy go, wyczytał te słowa:

„Kochany Bracie! Nie wiem czy list mój zastanie Cię przy życiu, bo jakoś nam tak zeszło, że ani się znamy, aniśmy do siebie pisali, ale dziś jestem już na schyłku życia i mam dość znaczny majątek, którego oddać nie mam komu, przeto proszę Cię, jeźli pamiętasz o mnie, przyjeżdżaj jak najspieszniej, niech Cię panem mojego majątku uczynię i z tobą, jak niegdyś dziecinne, tak teraz ostatnie chwile przepędzę. Bądź zdrów Twoja kochająca Cię siostra, Marya.“ —

Z jaką radością spieszył biedak do żony i dzieci z tym listem, tego opisywać nie będę, bo każdy z Was mili czytelnicy pojmie to najlepiej, a gdy wieść ta rozbiegła się w mgnieniu oka po Jaśle, iluż on zaraz przyjaciół znalazł! ten mu z poradą, ten z pomocą spieszy, ów go do siebie zaprasza, gości, ściska, całuje, bo taki to już świat z dawna, że biednego nikt nie zna, a w szczęściu łatwo o przyjaciół.

Nietrudno mu też było o przyodziewę nową i o pieniądze na podróż; przeto nie zwlekając pojechał daleko w świat, z przepełnioną różnemi myślami głową.

Przyjeżdża tedy na miejsce w liście wskazane i zastaje swoją siostrę już nad grobem, staruszkę, nadpodziw majętną, która go przyjmuje najmilej i cały majątek oddaje.

Pozostała żona i dzieci w Jaśle czekają obiecanego pisma, aż tu niedługo przychodzą dukaty i talary z listem i z takiem wezwaniem, aby żona wszystko wysprzedała, z córkami porządnie się okryła i żeby jak najspieszniej do Prus przyjeżdżali. Synowi Robertowi i córce zamężnej za siodlarzem tożsamo pieniędzy dość sporo udzielił, zostawiając im do woli, zostać w Jaśle lub razem przyjechać z tamtymi. Nasz krawiec Ignacy przebywa po całych dniach przy pięknej Karolci i oświadcza się z chęcią żenienia, ale mu powiedziała:

— Mój panie, skoroś nami wprzód pogardzał, to dziś już za późno; idź tam, gdzie dawno cwancygiery dla ciebie chowają, ja już pojadę z matką tam, gdzie Bóg poczciwość i pracę naszą nagradza.

Ignacy aż włosy targał ze złości; dobrze tak łakomcowi

Wkrótce wyjechała stara Słomkowa z dwoma córkami, i niedługo potem pisała do Jasła, że Karolcia idzie za mąż za jednego pana co ma trzy wsie, a druga córka za kupca do miasta i tak się istotnie stało; są paniami i żyją do dziś dnia.

Siodlarz w Jaśle tyle dostał pieniędzy że sobie sporo i gruntu kupił i kamieniczkę wystawił, ale wnet umarł, żona więc jego z córkami są w Prusach a syn Robert także po tym wypadku niedługo umarł w Tarnowie, gdzie był piekarzem.

Tak więc mili bracia, Bóg o każdem stworzeniu pamięta, bez jego św. woli, ani włos człowiekowi z głowy, ani biedne ptaszę nie zleci z gniazda ulepionego pod rodzinną strzechą, tylko pracą, cnotą, wykonywaniem Jego świętych praw, miłością bliźniego, trzeba sobie skarbić łaskę u tego najdobrotliwszego pana.

*Edmund Janicki naucz. w Błażkowy.*

## Pieśń przy oraniu.

W Imię Twoje Boże,
Chłopek ziemię orze:
W Tobie ma nadzieję,
Kiedy ziarno sieje.
Dalej wołki dalej,
Będziem pracowali;
Bóg pracą nagrodzi,
Ziarnko tysiąc zrodzi.
Pod Boską opieką,
Upały nie spieką,
Grad zdaleka minie;
Zdziebełko nie zginie.

Czas szybko upływa,
Nadejdą i żniwa,
A nasze zagony,
Hojne dadzą plony.
Tak to z łaski Bożej,
Dobytek się mnoży,
Oby pożyć zdrowo,
Zarobić na nowo.
Dano dobrze użyć,
Wiernie Bogu służyć,
I plonem tej ziemi,
Dzielić się z biednemi.

*S. P.*

## Kubuś.

Raz w Niedzielę rano,
Grabił Kubuś siano;
A że w święto grabił,
Więc piorun go zabił.
Módl się w święto zrana;
Bo święto dzień Pana,

Widzisz, Kubuś grabił,
I piorun go zabił
Wyraźnie Bóg woła:
W święto do kościoła!
Kubuś w święto grabił,
I piorun go zabił! —

## Ubogi muzyk i jego kolega.

W pięknym dniu letnim odbywała się w Wiedniu w pobliskim Praterze, miejscu publicznych przechadzek, wielka uroczystość ludowa. Ochocze tłumy wszelkiemi drogami wychylają się ze wszystkich stron miasta; młodzi i starzy, bogaci i ubodzy chciwie pragną użyć przyjemności i swobody życia; nawet cudzoziemcy biorą udział w zabawie ludowej. Gdzie zaś między ludźmi wesołość i spokój panuje, tam i ubodzy, z miłosierdzia szczęśliwszych swych bliźnich żyjący, mogą ich wsparcia pewniejszą mieć nadzieję. Tak więc przybyło tu także nie mało żebraków, jakoteż organkarzy, arfiarek, z których każdy chciał coś wyprosić, coś zarobić na opędzenie swej biedy.

Wtedy właśnie mieszkał w Wiedniu stary wysłużony żołnierz; zbyt szczuple udzielona mu płaca jako inwalidowi, niedostateczną mu była na utrzymanie, a żebrać niepodobna było. Będąc wszakże z rodu zdatnych do muzyki Czechów, wziął się do skrzypców, bo od lat chłopięcych nauczył się grać od swojego ojca. Siadywał zwykle pod starem drzewem w Praterze, swego zaś pudla wyuczył trzymać kapelusz w który łaskawie słuchacze wrzucali swoją ofiarę.

I dzisiaj stał on tu pod drzewem i rzępolił a pies siedział przed nim z kapeluszem; obojętnie jednak przechodzili goście a kapelusz był próżny. Gdyby się kto uważniej przypatrzył staremu kalece pewnieby się nad nim ulitował. Rzadki siwy włos zaledwie pokrywał jego głowę; stary wytarty płaszcz żołnierski otulał wyschłe wiekiem ciało. Nie z jednej ciężkiej wyszedł on potrzeby, a każda napiętnowała go blizną, pamiątką niejako za poświęcenie życia w obronie kraju. Trzema tylko palcami prawej ręki wodził smyczkiem po strunach; bo kartacz pod Aspern strzaskał mu dwa drugie, a kula równocześnie nogę mu urwała. Nikt jednak nie spojrzał na starego kalekę żołnierza, a on przecież za ostatni grosz kupił struny na skrzypce i z wysileniem odwieczne marsze i tańce bez przerwy wygrywał. Smutno i tęskno spoglądał starzec na przesuwające się koło niego tłumy, na opromienione weselem twarze i na przepych niedzielnych ubiorów. Uśmiech każdego ranił jego serce i niepokoił duszę, a myśl że dzisiejszego wieczoru trzeba będzie iść głodnym na spoczynek tem była boleśniejszą dla niego, gdy wspomniał o psie ukochanym, o jedynym przyjacielu swoim.

Już słońce miało się ku schyłkowi, i jego nadzieja rozwiewała się, w miarę jak się wieczór przybliżał; bo już i rozchodzić się z zabawy zaczęto; wtedy głębokie cierpienie rozlało się po wyschłej a bliznami okrytej twarzy staruszka. W tem smutnem położeniu nie postrzegł wcale, że niedaleko od niego, wytwornie ubrany pan długo mu się przypatrywał, przysłuchiwał, i z głębokim wyrazem litości na niego spoglądał. Starzec zaś o szczudle, długiem staniem znużony i graniem

zmordowany, usiadł na kamieniu, wsparł czoło na ręce, a tajemne łzy zrosiły mu zwiędłe policzki.

Ale ów pan, nieopodal od starca o pień lipy oparty, widział te łzy, z óez biednego kaleki płynące, a wzruszony, jak gdyby wrzące krople na jego serce spadały, poskoczył do niego, dał mu pieniądz złoty i rzekł z cudziemska, łamanym językiem:

— Proszę mi pozwolić tych skrzypców na godzinkę.

Starzec z wdzięcznością spojrzał na obcego, a choć nie pojmował myśli cudzoziemca, podał mu uprzejmie swe skrzypce. Nie były one tak złe, tylko ich właściciel ledwie rzępolić umiał. Nieznajomy wystroił je do czysta, stanął tuż obok starego kaleki i rzekł:

— Kolego, teraz ty zbieraj pieniądze, a ja będę grał.

W rzeczy samej zaczął grać a starzec ciekawie spoglądał na swoje skrzypce, jak gdyby ich nie poznawał; bo każden ton z nich wydobyty, przenikał serce słuchacza, a dźwięki jak perły roztaczały się na wszystkie strony. Niekiedy zdawało się, że głosy anielskie wydobywają się z głębi instrumentu, wyśpiewując radosne pienia wesela i swobody; a potem znown jakieś użalenia, skargi, boleść a każden ton rzewny wzruszał i łzę z oczu wyciskał.

Teraz ludzie skupiać się poczęli, około tego wytwornie ubranego pana i z podziwieniem słuchali czarującej gry jego; każdy się z łatwością domyślał, że ten zacny mąż gra na korzyść ubogiego; ale nikt go nie znał. Koło słuchaczów coraz się bardziej powiększa Nawet powozy znakomitych osób stawają. Każden z obecnych stosując się do zamiaru cudzoziemca, hojne składa ofiary Złoto i srebro, miedź i papiery, według możności i uczucia każdego, sypały się do kapelusza starego żołnierza. Pies warczał; czy z radości czy z gniewu? Za ciężki był już dla niego kapelusz.

— Wypróżnijcie go staruszku, wołali obecni, on się jeszcze napełni!

Starzec usłuchał i rzeczywiście znowu się kapelusz pieniędzmi napełnił, które powtórnie wsypał to torby, służącej mu

na schowanie skrzypców. Cudzoziemiec rozpromieniony powodzeniem grał ciągle, bez ustanku, a ustawiczne oklaski rozlegały się w dalekich stronach Prateru. Wszyscy byli w zachwyceniu. Nareszcie muzyk zaczął grać pieśń ludową na cześć Cesarza; wtedy wszystkie kapelusze i czapki zsunęły się z głów słuchaczy, a zapał ludu wzmógł się tak że wszyscy ją chórem zanócili. Skrzypek grał pełen natchnienia, a gdy się pieśń skończyła z cudownie odegraną przygrywką i zachwycającemi odmianami, złożył skrzypce w ręce szczęśliwego inwalidy i nim starzec zdołał swą wdzięczność okazać, znikł w tłumie zgromadzonego ludu.

— Kto to był? ciekawie pytał się każdy.

Wtedy jakiś pan wystąpił i rzekł:

— Znam go dobrze, jest to najznakomitszy teraz w całym świecie skrzypek Aleksander Buszer (Boucher) Francuz, który tu swoją sztukę w celu dobroczynnym okazał. I my także idźmy za jego przykładem.

I ten pan znowu wystawił swój kapelusz i znowu sypały się, pieniądze dla zdumionego starca; a gdy napełnił niemi torbę inwalidy zawołał:

— Niech żyje zacny Buszer!

— Niech żyje! ochotnie wszyscy krzyknęli. A starzec z wziesionemi ku niebu rękoma modlił się mówiąc: Dzięki ci składam dobrotliwy Boże! nagródź mu stokrotnie!

Tego wieczora niewątpliwie nie było w Wiedniu nikogo szczęśliwszego, jak starzec od nędzy na zawsze wyswobodzony i muzyk z najpiękniejszem w sercu za czyn chwalebny świadectwem, jakiegoby każden uczciwy człowiek zapragnął.

## Co w lesie mieszka i przebywa.

Las pierwotny bardzo licznych ma w swojem Państwie mieszkańców, między drzewami, na gałęziach, na mchu i pod nim osiadłych. W umiarkowanych strefach, mieszkają pod jego dachem: sarny i jelenie, lisy, borsuki, rysie, niedźwiedzie

wilki, dziki, żubry i t. p. One poczytują się za właściwych posiadaczy lasu, a co obok nich i nad niemi przebywa, to oni znoszą tylko ich obecność i sąsiedztwo, lub za podwładnych swoich poczytują. Najlepsza pasza do nich należy, mchy służą im za legowisko, a za dach drzewa rozłożyste; ich także źródła i leśne strumienie do zaspokojenia spragnionych. Niebezpiecznie do nich zawitać; a jakkolwiek jelenie i sarny, trwożliwego są usposobienia, i niechętnie przystępują do zwady i walki; chociaż lisy, borsuki i rysie lepiej się rozumieją na złodziejstwie, niż na wstępnym boju z równemi sobie i mocniejszemi od siebie zwierzętami, i w czasie niebezpieczeństwa przezornie umieją się do swych jam uchronić; to jednak niedźwiedzie, dziki i żubry są nieposkromieni i niebezpieczni lasu domownicy, a wilki, to jawne rozbójniki; nie należy z niemi puszczać się w zapasy. Ryś i wilk to najzuchwalsze łotry, oni są rzeczywistemi panami naszych lasów Europejskich.

Ryś jest największy, rodzaj kota, w umiarkowanych strefach, gdzie lwy, tygrysy, lamparty nie mogły się z chłodniejszem powietrzem oswoić, nietylko napada on na sarny i jelenie, lecz nawet na łosia wzrostem koniowi równego. Wskakuje on na grzbiet tym zwierzętom, przerywa im żyły na szyi, co sprawia że przez ujście krwi martwe padają. Wilki i mniejsze od nich lisy należą do rodzaju psów, i zbierają się w gromady, dla pomagania sobie w rozboju. W ten sposób pokonywają bydło i konie, i częściej mordują z upodobania, niżli z potrzeby zaspokojenia swej żarłoczności. Lis przy słabszych siłach na mniejszych zwierzętach przestaje. Ściga zające i zasadza się na ptastwo, najbardziej lubi smaczne przekąski jakoto: gęsi, kury, kaczki; jeźli mu ich niedostaje, to chwyta łasice, skrzeczki, myszy, i małe ptaki. Co więc tylko może, to się chroni na drzewa przed mordercami, jak np. wiewiórki i większa część ptaków.

Ale i tu niema dla nich bezpiecznego schronienia, są bowiem i uskrzydlone rozbójniki i zbójcy, z ostremi dziobami i mocnemi szponami jakoto: jastrząb, sokół, sęp i orzeł; te we dnie zagrażają, w nocy zaś zjawiają się w powolnym, ledwo

dosłyszanym locie sowy, puszczyki, puchacze, i między zaspanem ptastwem mordy roznoszą. Jakby w powszechnem zamiłowaniu rozboju i mordu, i mniejsze zwierzęta napadają na jeszcze mniejsze od siebie. Kuna, tchórz, a nawet łasica żyją z mordu i rabunku; niedołężny nietoperz korzysta ze zmierzchu i chciwie chwyta, gdzie tylko muchę, ćmę lub motyla napadnie; kruki, wrony, sroki mordują co się odpowiedniego ich siłom nawinie. Kawki, dzierzby, kosy, piegże, słowiki żyją z połowu; dzięcioły długiemi językami wyciągają z rozpadłych drzew i z pod ich kory ukryte chrząszcze i robaki, a dzióbami zmorszałe rozdzióbują drzewo, mordując na co natrafią.

Jakby przez zemstę, zagrożone mordem zwierzęta, niszczą nasienie roślinne! osy niszczą żołędzie, gąsienice i kwiaty, a najmniejsze nawet chrząszczyki obsiadają sosny, jodły i swoją żarłocznością do uschnięcia drzewo przyprowadzają, a mordy i rabunki w całym lesie na porządku dziennym.

W tem człowiek przychodzi do lasu niepozorny cudzoziemiec w tak krwiożerczem Państwie. Daleko mniejszy od żubra i łosia, nie większy od wyprostowanego niedźwiedzia a słabszy od któregokolwiek ze zwierząt drapieżnych. Nie ma skrzydeł jak sęp i orzeł, a najmniejszy ptaszek bynajmniej na niego nie zważa, bo za wyciągnięciem jego ręki, wysoko na wierzchołek drzewa ulatuje. Człowiek nie ma szponów, pazurów, jak zwierzęta z rodzaju kotów, lub ptaków drapieżnych, ale miękkie ręce; niema kopyt jak koń, ani racic jak bydło, lub jeleń, ale miękkie, obnażone nogi; niema ani prostych ni rozłożystych rogów do obrony swej głowy jak wół lub jeleń i sarna; niema szerokich, zakrzywionych rogów do obrony swej głowy, jak koza i baran, tylko miękki długi włos powiewa na jego ciemieniu. Niema takich kłów jak dzik, ryś, wilk i lis, lecz pulchne wargi zakrywają mu krótkie zęby, do rozcierania tylko mączystych ziarn sposobne. Niema twardego pancerza naprzeciw ostrej broni, jak żółw lub pancernik, ani futra dla złagodzenia wszelkiego pchnięcia lub uderzenia, nie ma żadnej ochrony przed ostrym zębem napastnika. Bez żadnego widocznego

środka obrony, stawiła natura słabego człowieka, naprzeciw zastępom nieprzyjaciół, silnym rozbójnikom i zajadłym, mordu chciwym zwierzętom.

Żubr i jeleń godzą na człowieka potężną opatrzeni bronią, dzik zagraża mu ostremi kłami, koń bije kopytem, zgraja wilków rzuca się na niego, z wyszczerzonemi zębami, tygrys roztwiera swą paszczę, lew zamierza się do morderczego skoku, sęp i orzeł zataczają niecierpliwie koła ponad głową zewsząd zagrożonego człowieka, w stalowe niemal uzbrojeni dzióby i ostre pazury. Jakże ujść napadu nieprzyjaciół, choćby i skrzydłami był obdarzony? Jakim sposobem mógłby zostać ich panem? Bez żadnej ochrony i bezbronny, w lekkiem okryciu, wchodzi on do lasu pomiędzy dzikie zwierzęta. Zaciekawieni lasu mieszkańcy gromadzą się w około obcego przychodnia, którego jak przypuszczamy, nigdy nie widziały. Każde zwierzę wydaje mu się przeważnie silniejsze, aż do kąsającego lisa, który go może w szybkim napadzie pochwycić za łydkę i spiesznie ujść pogoni. Wystawmy sobie, że lis rzeczywiście chciał rzucić się na bezbronnego człowieka; ale ten, schyla się w tej chwili, podnosi kamień i zamierza się do rzutu. Jakaż to straszliwa broń przeciwko lisowi! Człowiek ciska funtowy kamień na zwierzę, a trafiwszy je w czoło, druzgocze mu kości i mózg rozsadza; bo silnie rzucony kamień w chwili uderzenia, jest jak cetnar ciężki Albo innym razem, człowiek rzuca kamień, na dzwoniącego zębami lisa, ten błyskawicą zwraca się w inną stronę, i odbiera pocisk, który mu gruchocze żebra; zalany krwią przeraźliwie wyjąc, ucieka ile mu sił starczy i kryje się w nóry, dla ocalenia siebie i swego potomstwa.

Trożliwie i inne groźne nawet zwierzęta ustępują: zając, sarna, jeleń i łoś, uciekają przed człowiekiem, ptaki zleknione wzlatują w powietrze, kozy wspinają się na skały, a koty na drzewa. Niedźwiedź tylko, grubem futrem okryty, rzutu kamienia na siebie, niepoczytuje za zbytnie niebezpieczeństwo, a żubr nie dosyć przezorny, a najdzielniejszy zwierz w umiarkowanych strefach, i król w lesie pierwotnym, wyzwany niejako,

przez nowo zjawiającego się władzcę, śmiało zapewnie stanie do boju, i rogami będzie usiłował przebić przeciwnika, i zranionego stratować nogami. Ale człowiek wznosi wysoko maczugę i wywija nią w powietrzu. Znowu potężna broń, której skutków śmiały żubr doświadczy. Gwałtownym zamachem pada ciężka maczuga na czoło dzikiego zwierza, i czaszkę druzgocze mu w kawałki. Ogłuszony zwierz powala się na ziemię, i niestawiając więcej oporu, życie zakończa.

Teraz i niedźwiedź, ryś i wilk stronią od tych zapasów, bo już rozstrzygnęło się panowanie człowieka nad zwierzętami leśnemi. Jakkolwiek niepokryty i bezbronny urodził się człowiek, otrzymał jednakże rękę, czyli narzędzie więcej warte, jak wszystkie przyrodzone osłony i wszelkie od natury udzielone bronie. Ręka mogąca wszystko ująć i podnieść, ciągnąć, pchnąć rzucać, uderzać i miotać, tysiące broni zastąpić zdoła.

Ręka czyni człowieka panem wszystkich zwierząt.

Mają i małpy wprawdzie ręce, i one rzucają owocami i orzechami, siedząc na drzewach, gdzie się jak na basztach, bronią przeciw napastnikom, i ujmują rękami kije i pałki; ale na tem przestają, bo im brakuje wynalazczego rozumu, do stósownego urządzenia i rozważnego użycia swej broni. Zamroczony ich umysł, jest im na przeszkodzie do wykształcenia rąk, tak więc te nieocenione narzędzia, czynią je niedołężniejszemi od bobrów mających nogi do pływania usposobione, i od ptaków, które swym dzióbem tyle zadziwiających nas robót dokonywają. Człowiek z nader kunsztownem narzędziem, czyli ręką i rozum w darze otrzymał, ażeby tego narzędzia jako osłony i broni używał; i tym to sposobem Stwórca przeznaczył go na doczesnego na tej ziemi pana.

W jaki więc sposób człowiek panowanie nad zwierzętami wyzyskał?—Naprzód jako strzelec w nieustannym boju z dzikim drapieżnym zwierzem, wytępiał rysia, wilka, lisa, kunę; na spłoszoną i strwożoną dziczyznę, wynalazł wszelkiego rodzaju broń, rozliczne narzędzia i sposoby myśliwskie: pocisk, łuk i strzałę, dmuchawkę, zastawiane doły, sidła, potrzaski, pułapki,

żelaza najeżone kolcami na lisy i kuny, wiatrówki, a nakoniec broń i proch strzelniczy, który nieporównanie silniej kulę z lufy wyrzuci, niżby tego ludzkie płuca z dmuchawki lub wiatrówki dokazać mogły.

Polowanie jest wesołem, uciesznem źródłem zarobku, ale ograniczona tylko liczba rodzin myśliwych, w jednej okolicy zamieszkać może, bo samo wytępianie i mordy, bez względu na przychowek, zmniejsza gromady zwierząt, które nie tak prędko odrastają. Na mili kwadratowej zaledwie 10 rodzin może wyżyć z polowania a z trudnością cała ludność między sobą pozostaje w pokoju. Jakże odgraniczyć dzielnice do polowania, kiedy je zwierz z łatwością w każdej chwili przekroczy? Ztąd zwykle wszczynają się zwady, spory i kłótnie, następnie przychodzi do najazdu i walki, i do wzajemnego wytępiania się. Tak się działo u ludów utrzymujących się z polowania, i to samo dzieje się dzisiaj w pierwotnych lasach w północnej Ameryce. Ludność miejscowa coraz się bardziej pomniejsza, a oświeceńsi i pracowitsi przychodnie wytępiają dawnych mieszkańców, lub ich znaglają do opuszczenia miejsc, w których potem rolnictwo i przemysł zakwita.

Rozsądniejsi ludzie zajączów, sarny, łosiów, niedźwiedzi i wszelkie zwierzęta, nietrudniące się rabunkiem i mordem, ale zawsze dzikie, zostawiali w pokoju, a łagodniejsze i powolniejsze obłaskawiali. Z tych najpotulniejszą okazała się owca, a najużyteczniejszem bydło, także kozy, kury, gołębie. Te człowiek roztropny przywodził z lasu do siebie, i z niemi urządzał sobie gospodarstwo.

*Wawrzyniec Cz. naucz. z Brz.*

# Niema karmicielka.

Wielką przysługę ludziom wyświadcza krowa, bo swoim mlekiem, w przypadku słabości matki tysiącom dzieci życie ocala, żadnym bowiem innym pokarmem bez niebezpieczeństwa, nie da się dziecię wychować. Mleko nietylko dla niemowlęcia, ale i dla starszych dzieci jest najlepszem pożywieniem; doro-

słego nawet człowieka może być wyłącznym pokarmem, i rzeczywiście dla wielkiej liczby ludzi, szczególniej zaś na wsi, główną część pożywienia stanowi tak, że krowę słusznie niemą karmicielką nazwać możemy.

Z czegóż się składa ten tak nieoszacowany, z trudnością dający się zastąpić, służący zdrowiu pokarm, a będący zarazem pokarmem i napojem? Większa część świeżo udojonego mleka składa się z wody, i to prawie z dziewięciu dziesiątych części, albo dokładniej mówiąc z 86ciu do 90tu setnych części. Ta przeważna ilość wody w mleku, wcale nas dziwić nie powinna; samo białko w kurzem jaju ma w sobie 86 do 88 setnych części wody, tylko 12 do 14 setnych części pierwiastku suchego białka, a najlepsze i najmocniejsze wino ma tylko kilka setnych części spirytusu winnego i cukru, i zaledwie zważyć się dającą cząstkę pierwiastków korzennych i zapach dających, reszta wszystko jest wodą do rozpuszczenia i rozcieńczenia tych ciał potrzebną. W wodzie rozpuszczone pierwiastki mleka są cukier i ser; prócz tych w bardzo delikatnych krupeczkach masło, czyli tłuszcz mleczny. To są właściwe pierwiastki pokarmowe w mleku; sto funtów świeżo udojonego mleka krowiego, zawierają w sobie 4 do 5 funtów cukru, któren dla rozróżnienia go, od cukru ze trzciny cukrowej, z winogron i buraków, mlecznym cukrem nazywają; mniej wprawdzie jest słodki, jak cukier roślinny, ale nadaje świeżemu mleku przyjemny smak słodki; prócz tego znajduje się w tych stu funtach mleka około 4 funty serowego pierwiastku; nakoniec mała część soli, która z serem złączona, do trawienia, posilenia i tworzenia kości znacznie się przyczynia. Tak więc najważniejsze pożywne pierwiastki dla ludzi w mleku widzimy. Masło jest tego samego rodzaju, co oleje roślinne, i różne rodzaje tłuszczu zwierzęcego, a ten składa się z tej samej materyi, co mączka krochmalowa w roślinach, części mięsne owoców, korzonków jadalnych i narośli; te wszystkie ciała służą nam za pokarm, szczególniej dla rozniecenia potrzebnego ciepła żywotnego.

Pierwiastek serowy te same prawie ma części składowe

co mięso i zboże, tworzące właściwą massę krwi, szczególniej zaś do zastąpienia zużytych muszkułów służące, dla tego pierwiastek serowy jak mięso nadewszystko za posilny pokarm uważać należy. Cukier mleczny co do swego składu z cukrem roślinnym jest jednakowy, i nietylko służy za przyprawę, ale jak tłuszcz i krochmal, z którėmi z tych samych składa się pierwiastków, za pożywienie. Gdy także i potrzebne sole i inne pierwiastki do ukształcenia i odnowienia kości i innych składowych części ciała w mleku się znajdują, to należy je za szczęśliwe połączenie z pożywnych pierwiastków poczytać, i za zdolne wszystkie inne zastąpić pokarmy tak, że człowiek samem tylko mlekiem i wyrobami z niego, jakoto masłem, serem i serwatką żyć może. Mleko także jakkolwiek w rozmaicie pomieszanych stósunkach, zdatne jest do trawienia; razem służąc za pokarm i napój, ma w sobie składowe cząstki krwi, i w tym to względzie, możemy mleko białą krwią nazywać.

Krowa tylko jedynie najlepszego dostarcza nam mleka; jednakże i mleko od innych zwierząt ssących jak kozie, owcze, ośle niemały przynosi nam pożytek; żadne wszakże nie wyrównywa w dobroci krowiemu. Stósownie do celu hodowana i karmiona krowa, odpłaca się wielką dla nas korzyścią. Ona bezwiednie najpożyteczniejszą dla ludzi odbywa robotę; zieloną bowiem niezdatną dla człowieka na pokarm trawę, w słodkie mleko zamienia, co niewyjaśnionym dotąd sposobem, w niewielu dokonywa się godzinach. Nie przestajemy jednak na tem, ale i cierpliwego wołu, jako powolnego a silnego sługę używamy do ciągnienia w zaprzęgu ciężarów, do orki i uprawy roli. I to jeszcze za mało. Jak krowa nam trawę, koniczynę i inne pokarmy w mleko zamienia, znowu wołu tak długo tuczymy, aż dopóki większą część swej paszy nie zamieni w mięso i tłuszcz, i gdy zwykle dorosły wół 6 do 8miu cetnarów waży, to upasiony aż do 20tu i więcej cetnarów ciężkości dochodzi.

Te szczególniejsze przymioty i zbyt ważne usługi zwierząt jako roboczych, dostarczających nam mleka i dających się utuczyć sprawiły, że od niepamiętnych czasów bydło zostało

najszacowniejszym domownikiem człowieka, a w Egipcie wół jako godło rolnictwa, za bożka był czczony.

Na górach bywa bydło po większej części silne, skupione w sobie, małego wzrostu, z krótkiemi rogami, do chodu po nierównym, kamienistym gruncie, i do paszenia się na spadzistościach usposobione. Na szeroko rozległych równinach z miękką ziemią a wysoką trawą i bydło swoje członki dogodnie rozszerza i jest roślejsze. Głowa, szyja i nogi wydłużają się na miękkim a nawet mokrawym gruncie, dla wygodnego chodu, szeroko rozszczepiają mu się racice, skóra zwiesza się na piersiach i słabiznach, a długie cieńkie rogi rozchodzą się daleko od siebie.

Kozę można poczytać za mniejszą, pośledniejszą krowę; przestaje ona na szczupłej, lichej paszy, ale i łakotliwa przy dobrym pokarmie, jest prawdziwie mlecznem zwierzęciem ubogich właścicieli ze szczupłej roli, lub ogrodu żyjących. Pochodzi ona z lasu, i jak jeleń z spokrewnioną sarną lubi zajadać gałązki liściaste, iglaste, korę i korzenne zioła na górach rosnące. Ogrodnik więc liściem z drzew owocowych i krzewów, opadkami z jarzynnych roślin i plewidłem, łatwo może łakotnisi dogodzić. Nie wpuszcza się wprawdzie wilka do obory, koza jednak należy do ogrodu, bo z niego najlepszy z małym kosztem otrzymuje pokarm, któren się prawie cały w mleko przemienia, bo niewiele jej do życia potrzeba, a mleko ma obfitsze w masło, cukier mleczny i ser aniżeli krowa.

## Dawne przysłowia i przypowieści.

Kto nie miawszy uczynić bez zwłoki odmówi, jakby połowę dał.

Z przyjaźnią jak z nową suknią, w ustawiczności spowszednieje, rzadziej używając, dłużej dobra.

Jak kto o kim przed tobą, pewnie o tobie przed drugim.

Bez miary lekarstwo, stanie za truciznę.

Wielka różnica zacząć dobrze, a dobrze skończyć.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.